



Serdeczne gratulacje składamy P. Prof. Eugeniuszowi Pawłowskiemu, Opiekunowi naszego pisma, z powodu zaszczytnego odznaczenia Go Srebrnym Krzyżem Zasługi.

Do piszących artykuły

Artykuły, pisane czysto na jednej stronie arkusza, z pełnym nazwiskiem, należy składać najpóźniej do 28 stycznia na ręce naczelnego redaktora, sekretarza, ewentualnie członka Redakcji w Gimn. II im. B. Chrobrego w Nowym Sączu.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Kol. J. ZIOBRZYŃSKI, kl. II lic. h.: na temat poruszony przez kolegę pisano już wiele w „Zewie Gór” — ponieważ zaś ujęcie kolegi jest mało interesujące, zbyt kronikarskie, przeto nie umieścimy. Niemniej i „obrazek z kina” był poruszany przez nas kilkakrotnie w „Na gorącym uczynku”.

Prosimy jednak o coś aktualniejszego.
Kol. GÓRECKI, kl. I, lic. h.: praca kolegi jest stanowczo za obszerna, jeśli kolega się zgodzi, zamieścimy w wyjątkach. Po dziwiemy jednak trud kolegi włożony w obszerną opracowanie tematu.

REDAKCJA

P. Prof. E. PAWŁOWSKI — redaktor odpowiedzialny, kol. St. TAKUSKI, kl. II Lic. hum. 369 — redaktor naczelny; koleż. H. BARBACKA, kl. II Lic. hum. SS. Niep. — zast. red. nac.; kol. J. SAJDAKÓWNA, kl. II Lic. ped. — zast. red. nac.; kol. M. GOMUŁKA, kl. II Lic. hum. — sekretarz naczelny.

KOMITET REDAKCYJNY

Dział literacki: Ref. J. Sajdakówna. Członkowie: H. Barbacka, M. Symczakówna kl. I Lic. ped., Z. Zehetgrubówna kl. II Lic. hum., R. Cabaj kl. IV b 369, T. Langer kl. II Lic. mat., W. Piotrowski Lic. mat. **Dział naukowy:** Ref. St. Takuski. Członkowie: J. Sajdakówna, Wajsówna kl. IV G. żeń, A. Gryziecka kl. IV G. żeń. **Dział regionalny:** Ref. H. Barbacka. Członkowie: Mordawska, kl. III b. G. żeń., Błachut, kl. IV a G. 368. **Dział sportowy:** Ref. M. Gomulka. Członkowie: A. Gryziecka. **Dział „Nasze życie”:** Ref. M. Symczakówna. Członkowie: J. Kubiszówna kl. IV G. żeń., T. Langer, R. Cabaj, **Dział rozrywkowy:** Ref. T. Langer, J. Sajdakówna, Baran kl. IV 368. **Dział harcerski:** Ref. M. Jasńska kl. I Lic. przyr. **Dział recenzji:** Ref. J. Sajdakówna, T. Drzymuchowski Lic. I hum. **Dział graficzny:** Ref. Z. Nodzyński kl. II Lic. hum. 369.

Komitet redakcyjny ze Starego Sącza

Kol.: J. Bieniek, kl. II lic. ped., L. Pudło, kl. II lic. ped., M. Jurecki, kl. I lic. ped. Koleżanki: Lotterówna, kl. I lic. hum., Frączkówna, kl. I lic. hum., Klimecka.

Opiekunowie pisma:

P. P. Prof.: E. Pawłowski, E. Somogyi, R. Reguła, J. Dzieślewski i T. Bromowiczowa.

Administrator: Prof. EMERYK SOMOGYI.

Kierownik działu graficznego: Prof. ROMUALD REGUŁA.

Warunki prenumeraty „Zewu Gór”:

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową rocznie 3 zł, półrocznie 1 zł 50 gr, kwartalnie 1 zł. Należytość uprasza się przysyłać przekazem pocztowym pod adresem Administracji czasopisma, Nowy Sącz, ul. Pijarska 15. Prof. Somogyi.

„ZEW GÓR”, Czasopismo Młodzieży Szkół Średnich w Nowym Sączu wychodzi co miesiąc w Nowym Sączu.

ADRES REDAKCJI: Nowy Sącz, Gimnazjum II, im. Kr. Bol. Chrobrego ul. Jagiellońska 63.

ADMINISTRACJI: Prof. Emeryk Somogyi, Nowy Sącz, ul. Pijarska 15.

Cena egzemplarza 25 gr.

Ceny ogłoszeń: Reklamy; — cała strona 32 zł, 1/2 str. 16 zł, 1/4 str. 8 zł, 1/16 str. 2 zł.

Ogłoszenia drobne: za wyraz 5 gr — najmniej 10 wyrazów. Układ tabelaryczny 50 proc. drożej. — Reklamy i ogłoszenia wśród tekstu 50 proc. drożej. Dla reklam i ogłoszeń stałych opust.



Miesięcznik Młodzieży Szkół Średnich Nowego i Starego Sącza

Rok VII.

Nowy Sącz, dnia 20 stycznia 1939 r.

Nr 46.

Spojrzenie w głąb

(Rozważania noworoczne)

Ilekcóż stajemy u progu czegoś nowego, nieznanego — i mamy uczynić ważny krok naprzód, zatrzymujemy się zawsze na chwilę i myślą sięgamy w przeszłość, w to wszystko, co minęło, a co przeżyło się nieraz może bardzo głęboko i mocno.

Przeżywamy w życiu często chwile takich „powrotów“ — a przeżywamy je najczęściej wtedy, gdy czujemy, że jakaś część zadania zakreślonego przez życie została dokonana, albo też [w wypadku przeciwnym] gdy rozumiemy, że pora zacząć „nowe życie“ i podjąć poważny, na większą miarę zakrojony trud. Bolesne są nieraz chwile takich „powrotów“ — ale spojrzenie na przeszłość — czy też terażniejszość, spojrzenie trzeźwe i uczciwe, pozwala dojrzeć wiele rzeczy, których nie dostrzega się w nawale zajęć i trudów dnia powszedniego.

Dobrze jest przeżyć taką chwilę powrotu, wejść na chwilę w głąb siebie i szczerze, głęboko pomyśleć o tym wszystkim, obok czego przechodzi się obojętnie w toku życia codziennego. Nie mamy częstokroć czasu dla siebie — i dlatego przechodzimy nieraz obok wielkich spraw, które się w nas dzieją — i może to brzmi nieprawdopodobnie i nie widzimy siebie.

Znowu jak co roku, stajemy u progu nowego etapu życia i naszej zwykłej codziennej pracy.

W blaskach zachodzącego Starego Roku chętnie snujemy kolorowe, piękne marzenia i sny o przyszłości. — Spróbujmy teraz na chwilę małą porzucić te myśli o przyszłości.

ści, a zastanówmy się — tak serdecznie i uczciwie nad tym, co minęło — a może jeszcze trwa w nas i istnieje. Jesteśmy młodzieżą. — Młodość jest sybolem tężyzny i mocy **ducha**. Pomyślmy — czy nie cechuje nas przypadkiem marazm i dziwaczny jakiś pesymizm, obojętność dla spraw ducha — i co za tym idzie, spłylenie i negacja wszelkich dóbr kulturalnych? Wiemy o tym, że w świecie panuje materializm, egoizm, okropna powierzchowność i nieszczerłość, ale przecież my jesteśmy **młodzi**; nie możemy patrzeć na tamto — ideałem każdego z nas powinno być urobienie siebie samego na człowieka, mogącego wnieść w zmaterializowaną kulturę pierwiastki nowe, ożywcze, promieniujące mocą, zrodzonej z radosnej, prężnej młodości. Ażeby dokonać takiego czynu, trzeba dużej siły duchowej i wyrobienia, które zdobywa się w trudzie ciężkim, na drodze samodzielnej i twórczej pracy nad sobą. I właśnie pierwszym krokiem do tego będzie takie „noworoczne“ spojrzenie w głąb. Może to będzie trochę ciężkie — ale pamiętajmy i o tym, że do każdego celu wielkiego dochodzi się zarówno na drodze wielkich zmagających wewnętrznych, jak i cichą, szarą w powszednim trudzie prowadzoną pracą, pracą od wewnątrz — i od głębi...

JADWIGA SAJDAKÓWNA.



Wyk. Chlebiński. gimn. 368

Kolędniczy

A GDY NOWY ROK IDZIE...

Na bezmiar niebios wysypały się gwiazdy złotym makiem. Na gałęziach drzew drży biały królewicz zimy — Śnieg. Zza obłoków wygląda księżyc i przekornym okiem mruga do spokojnej, otulonej śnieżnym płaszczem Ziemi.

W półbłękitnym powietrzu zaczynają swój taniec białe baletnice — śnieżki, towarzyszy, służki królowej Zimy. Za lada podmuchem

wirują, wznoszą się, to znów zniżają, by wreszcie spaść na ziemię i zamienić się w skrzący, rozdygotany lunami światła brylant. — W koło panuje cisza, z oddali tylko, jakby z zaświatów, dobiega brzęczenie sań i szczekanie psów. — Wieczór był już dosyć późny, mroz brał siarczysty, śnieg gęsty sypał, przykrywając drogi, ścieżki, a nawet osiedla ludzkie. Gdzie spojrzeć — prócz bieli nic

nie widać. Biada podróżnemu, błazącemu wśród zawiei, lub biedakowi bez dachu nad głową.

W wieczór ten szedł drogą zasypaną śniegiem siwy, zgarbiony starowina. Długa na nim kapota, przepasana rzemieniem, głowa zasłonięta kapturem, w ręce sękaty kij. Zgarbiony, podpira się laską i mimo zmęczenia i wiatru, rozwiewającego poły płaszcz, idzie dalej. Wędruje przez pola i lasy, przez miasta i wsie; zagląda do okien chat biednych i do jasno oświetlonych sal, do suteryn i poddaszy. Z goryczą myśli, że ludzie wszędzie są jednacy, żądni nowości i ciągłej zmiany; jednak cy pełni dziecięcej ufności i nadziei.

Któż to jest ten dziwny tajemniczy wędrowiec?

Imię jego: Rok 1938. Dziś ostatni dzień jego panowania. Stary jest już i umęczony, więc spieszy do Boga, by tam wreszcie odpocząć. Tak mało radości widział na świecie, wszędzie tylko narzekania, smutek i lzy...

A gdy dwunasta wybije, zawita Nowy Rok 1939. I nie będzie szedł w tę śnieżną, cichą noc wśród pól i lasów, ale zjawi się w towarzystwie niewidzialnej, a tylko wyczuwalnej dla nas istoty, spowitej w zielony płaszcz, symbol nadziei, zjawi się tam, gdzie go będą oczekiwali przy zastawionym stole czy też na sali balowej. — Wnieście ze sobą urok radości i nadzieję. — Bo serce człowieka jest już takie, że zawsze, nawet w najcięższych momentach życia pełne jest nadziei w poprawę i ufne w Opatrzność Bożą.

A gdy zegar dwanaście razy uderzy zwiastując całemu światu nadejście Nowego Roku, każdy mimo woli zastanowi się: co też on nam przyniesie — wojnę czy pokój, lzy czy radość, smutek czy wesele? Tak było przed tysiącami, setkami lat — tak jest dziś i tak samo zawsze będzie.

A zielona Pani stanie cichutko tuż obok nas i delikatnie, leciuteńko zapuka do ludzkich serc...

H. ŻAWRYDÓWNA

J. SAJDAKÓWNA

[Legenda starych miast]

Stara baśń

Z omszałych murów staroświeckich domostw
Snuje się dziwna, średniowieczna baśń.
Ginąca kantyleną dawnych słów i dawnych pieśni,
Melodią cichą zwiędłych, przedwczorajskich róż,

Liliowością mroków otulona przeszłość
Wstaje przedziwną pieśnią goliardowych słów.
W zaułkach, czernią i opalem nacicha stara baśń...
Smęt dziwny w duszę sączy i dobry, cichy żal...

STANISŁAW TAKUSKI

Przez szerokie, śniegowe pola...

(refleksje styczniowe)

Przez nieobjęte dale... kolorowym śniegiem omszałe pola — idzie mróz. Tęczowe, zmarznięte zimierzchy wtuliły się wieńcem w puszystość zasp zimowych... Omotane niemi szronu stoją posągi drzew, na które słońce codziennie rano zwiwnie swym błyskiem, tysiące płatków kolorowych... i długo lecą... lecą... gorejące, rozmigotane, fioletowe, małe... duże... lecą niedaleko: — w przepaści miękkiej snują cudowną pieśń o ziemie...

Tak jest daleko... białe w jasny zimowy dzień.

Zdaje mi się, że ktoś cudowną dłonią słońca rozkolebał międzykolorowe pieśni, rozegrał miliony pereł szronu w ciepłych okiściach, że drgają ruchem szalonym i świecą jak lzy radości zmarznięte w oczach dziewczyny...

Któż je uspokoi?

W miąższ fioletowego śniegu wrosły dziwne sny, precudne wiersze nagrane na białą taśmę strzech; — białe anioły snują tę piękną i dziką pieśń zimy. Spłynęła z wisiorkami sopli w migotliwą dal na ludzkie głowy, chaty... wsi... Pieśń zimy jest piękna fioletowym słońcem... jest straszna i dzika zimnym, ubogim sercem kochającym... a wichur ją poniósł jeszcze dalej i dalej...

Pieśń zimowa!... Stanęli pod jarzmem pracy, przed trudem zgięli czarne barki, rękawice, przez które przedrzeźniały się osędziały, czerwone palce i długo szukały czegoś w zamrzniętym śniegu. Żyły drgające z zimna wżerały się w chude ciało jakby szukając ciepła.

Poszli prosto. Długie ślady na śniegu giną na horyzoncie, pod białą grudką świeży się krew... purpurowa, ciepła krew... Krew jest zawsze gorąca...

W białych zaułkach zasepione postacie i twarze groźne wybuchają szyderczym śmiechem, usta, w które wali wichura szpilkowymi płatkami, zdają się modlitwą wyzywać Boga...

Pieśń zimy jest piękna i dzika...

Zgubionymi ślady pójdzie tysiące do niebieszczącej się dali horyzontu. Tam kres zimy... tam wiosną zapachną ręce... i pracą.

A pieśń płynie dalej... Na leśnej ścieżce łkają ostatnie lazurowe zimierzchy. Dziecięce nóżki toną w błękitnych zaspach. Do wsi jeszcze

daleko... Mocny Boże!... Do matuli?... Do chatki, do ludzi?... Któż przyjmie ubogą? Dziś tak zimno. Białe rączęta kurczowo chwytają śnieg jak ciepłe palce anioła. W tych operlonych ciepłym puchem skrzydłach uśmiecha się słodki sen.

— Mocny Boże!... Wszak niedawno się Chrystus rodził. Dziś...? Dziś jest zimno. Matus, gdzieś ty?...

Miasto. Ulica. Na wystawowych szybach tysiące kwiatów przelepionych jak czerwone serca. Chodniki krwawią się męczącym dniem. „Express” — kupcie ludzie, na miłość Boską!

Coraz cichsze wołanie, potem zachryple szemranie z ostatnią modlitwą, której nigdy nie znał — wyplute słowa pogardy... a potem gorący uścisk mrozu i sen... Kościół jest duży. Tam jest ciepło — tam jest gorąco... Tam jest przyjemnie płakać ubogim.

Samotne, pogardzone dzieci dnia, pieśnią wyją ich młode dusze... Jutro... jutro najdłużej... a potem ciepły wiew wiatru... Lecz dzisiaj zimno, przejmujący mróz. Siarczyste zimno! O wizjo zmarzniętych dni, zmęczone chwile czekają u skraju ulic, w zaułkach na nowe ofiary. Pieśń zimy jest szalona jak wichura, gorąca jak sen w kościele...

Szerokie pole... a potem cmentarz. Nie!... Tylko dwa wzgórki na białym prześcieradle śniegu i... krzyż, zmarznięty krzyż... Dziś na nim Chrystus-Biedaczek odsłonięty i śniegiem obrosłe cyfry: — 1863 r., a pod nim dwa groby. Dwa słońca łamią się w puszystej zaspie, palą się iskry świecznikami wiecznie zapalonych świec, palą się całą noc...

Cmentarz ubogi: krzyż i mogiła.

Tak cicho jest wśród zasp. Mróz skowycze na białych grobach jak pies. Zwarzone okiście świerków huśtają się pod tchnieniem jakiegoś ducha - opiekuna grobów Kolczasta róża w niemocy oplotła ramiona krzyża i czeka...

Nad grobem świecą tysiące słońc...

W styczniową noc po leśnych ostępach, gdy gwiazdy takie zimne tulą się w pierzynę niebios, włóczą się duchy jasne. Pieśni rozbrzęczone idą białe, świetlane, idą prosto nad groby, gdzie śpią młode dusze, gorące, bo wiecznie się palą miłością Ojczyzny. Bóg z wami!

Po śnieżnych polach śpi tysiące młodych, którzy życie złożyli w ofierze, których czyn dla Ojczyzny jest świętym. Śpią w zimnych grobach, którzy w styczniową noc zerwali się ku Ojczyźnie.

Lecz z tych grobów wyrosły nowe czyny bohaterskie, wyrósł nowy dzień świetlany glorii i zwycięstwa.

Naokoło jest tak zimno!...

W zimnych kurhanach tylko bucha żarem ciepło prawdziwej miłości Ojczyzny.

Tak wichur styczniowy szumiąc w głębi siniejącej przestrzeni stawia nam przed oczy wizję przeszłości poczętej wśród zawiei mroźnych, wśród zasp; garstkę obrońców Ojczyzny, których w szale miłości nie powstrzymał mróz, szli pewni zwycięstwa, chociażby w zimnym grobie. To oni!... Ci ludzie spoczywają tam w białym polu, bohaterowie epoki; wiatr im niesie cudną pieśń zimy, a polskie serca wtórują im wielką miłością, czią młodych serc, zobowiązaniem mocarstwowej Polski...

J. SAJDAKÓWNA

Z I M A



Wyk. J. Ziemiński, gimn. 369

Za oknami w dal snuje srebrną przedzę światła
Zimowy, cichy wieczór; lodowe kwiaty dzwonią.
Białe astry zakłęte w srebrną i szarą lodu siność —
Opowieścią zimową, cichym mrą blaskiem na szybach.

Lodowymi kwiatami rozdzwoniona zima
Nie ściszy brzmiących w jesień akordów molowych.
Nuta jesienna, tęsknica cicha, rdzawa,
Nie zakrzepnie w sinawą otęcz srebrnych lodów.

Za oknami, daleko — niknie smęt jesieni
I dzwoni, dzwoni zima. Melodię gwiazd cichą
Zanuci ciemnym światłem zsrebrzona otęcz śniegu.
Lodowe chryzantemy konają wciąż na szybach...



Z powodu mylnego odbicia kolorów w N-rze 45, reprodukujemy ponownie kliszę kol. Reguły.

REDAKCJA.

GUSTAW MORCINEK

Gwiazdka w szkole

Wyjątek z książki p. t.: „W najmłodszym lesie“

Największe drapichrusty szkolne pokornieją i do trzech zliczyć nie umieją, kiedy się zbliża Gwiazdka szkolna. Już od dwóch tygodni przynoszą zadania porządnie napisane, już nie kryją się za sąsiadem, a jeżeli pan nauczyciel np. zapyta:

— Kto wie, jakie końcówki przybierają rzeczowniki w liczbie mnogiej w trzecim przypadku? — to chociaż nie wiedzą, ale głoszą się i prawie na ławy wylażą, żeby udowodnić, że oni naprawdę wiedzą. Nawet taką bląhą rzecz, jak tamte końcówki rzeczownika.

Jeżeli jednak pan nauczyciel wskaże na taką wyciągniętą dłoń, wówczas następuje tragedia.

— Proszę... Ja wszystko wiem, lecz prawie tego nie wiem!.. — tłumaczy się wtedy Kania.

— Więc czemu się głosisz?

— Proszę!... Bo ja się głosiłem jeszcze z odpowiedzią na poprzednie pytanie.

Urbach, co będzie rabinem, powiada wtedy, że Kania jest krętacz i że chce pana nauczyciela nabić w butelkę.

W ogóle Urbach używa niecodziennych wyrażań. Oto niedawno wyjechał przed klasą z określeniem: numerus clausus. Gdzieś wyczytał w gazecie o zaburzeniach studenckich w Poznaniu i Warszawie i nie omieszkał poinformować pana nauczyciela, że dobrze wie, o co tu chodzi.

— Więc o co chodzi?... Mów!... — jeśli wołać zaintrygowani koledzy.

— Medka, powiedzcie? — zwrócił się do czarnookiej Medki Urbischówny, którą Urbach lubi, pisze jej zadania, a ona go tłucze piórnikiem po głowie i boksuje kulakami.

— Hm, powiedz, jak chcesz!

— To jest tak... — zaczął Urbach, poprawiając opadające spodnie na chudym brzuchu. I byłaby się rozpoczęła długa historia o kwestii żydowskiej w Polsce, lecz chłopcy połapali się i jeśli krzyczeć, żeby siadał, a nie zwracał głowy. Bo tu przecież chodzi teraz o Gwiazdkę. A to jest chyba ważniejsze, aniżeli „numerus clausus“.

Gwiazdka staje się osiłą każdej lekcji przedgwiazdkowej. Najwięksi mądrale wysilają się, by tak pokierować tokiem lekcji, by pan nauczyciel ją mówił o Gwiazdce. Uczy pan nauczyciel od polskiego, przeprowadza jakieś ćwiczenia słownikowe lub suszy wszystkim głowę określeniem przysłówkowym, zniecka wyrywa się taki Sembol i pyta słodziutko:

— Proszę, a jak się pisze wyraz: Gwiazdka? Czy przez „de“ czy przez „te“?

Przyjdzie do klasy pan od przyrody, rozpocznie lekcję o lwach na przykład czy o krokodylach, a wtedy Galejanka podnosi palce i zacznie nimi ruszać żywo nad płową czupryną.

— Proszę, Galejanka! — mówi pan od przyrody, uradowany bardzo, że Galejanka, co zawsze bawi się palcami pod ławą, okazuje dzisiaj takie ogromne zainteresowanie krokodylami, że aż się głosi.

— Proszę!... A ja widziałam za oknem u piernikarza Bibra takiego wielkiego krokodyla z czekolady!... A to byłoby bardzo piękne na naszym Bożym Drzewku...

— Na choince!... — poprawia Urbach i mruga porozumiewawczo na Galejankę.

— Na choince! — powtarza Galejanka.

Potem przyjdzie do klasy pan od fizyki. Chłopcy wnoszą na katedrę jakieś dzwonki, telefony, druty, maszyny, słoiki, butelki lejdejskie, a reszta chłopców skacze z radości, że będą dzisiaj telefonować. Potem w mij rozciągają druty po korytarzu, biegną z nimi na pierwsze piętro, potem na parter, a jeżeli starczy drutu, to ciągną go do kotłowni, gdzie stróż szkolny, przezwany ujcem, pali pod kotłami.

Ujec za głowę się łapie, klasowi majsterkowie zaś montują aparat telefoniczny w kotłowni, a gdy już wszystko gotowe, zaczyna się lekcja. Wtedy zawsze powstaje bójka w kotłowni, bo każdy z chłopców pragnie powiedzieć chociażby jedno słowo do telefonu. Wiedzą, że po drugiej stronie, w klasie na drugim piętrze, słuchają dziewczyny, więc trzeba koniecznie powiedzieć jakiś dowcip.

— Kto jest przy telefonie? — woła w klasie czarnooka Medka.

— Tu jest Metza-gołębiarz!... A kto mówi?

— Tu Medka Urbischówna.

— Serwus, Medka!... — wrzeszczy do telefonu Metza.

— Serwus Metza!... A gołębie ci zdechły?

— Poczekaj, ja ci dam: zdechły gołębie!...

— grozi Metza. Rychło jednak opanowuje się i tak zaczyna:

— Ty, Medka!... Co robi pan nauczyciel?

Medka zerka zakłopotana na pana nauczyciela i waha się z odpowiedzią. Nie wypada przecież mówić o nim, kiedy stoi tuż przy katedrze.

— Proszę! — zwraca się do niego. — Bo Metza pyta się, co pan nauczyciel robi?

— Zapytaj się go, co chce?... Lecz ty już nie. Teraz inna. Ty, Rogolówna!...

Rogolówna chwytła nieufnie słuchawkę, przy-

suwa drobne usta do muszli telefonu i piszczy:

— Czego chcesz, Metza?

— Powiedz panu nauczycielowi, że ujec już przyniósł choinkę. Taką dużą jak topolę. Leży na podwórzu!... Zapytaj się, kiedy będzie ta Gwiazdka?...

Rogolówna zgłasza panu nauczycielowi sprawę Metzy o choince.

Przyjdzie w końcu pan nauczyciel od rysunków, postawi na stole wypchaną sowę o jednym oku i o wyskubanym ogonie.

— Choinki rysujemy!... Choinki! — wrzeszczy klasa.

Zaczyna się więc rysowanie choinek. Choinki są wtedy ogromnie zielone, na ich szczytce sterczy olbrzymia gwiazda promienista, między gałązkami zapalają się liczne świeczki, a koło świec wyrastają okręty, samoloty, lalki, a nawet buty.

Buty wyrysował Foltyn, gdyż jest na utrzymaniu u jakiegoś dalekiego krewnego, który nie chce kupić chłopcu butów. Foltyn chodzi do szkoły w jakichś starych buciorach powiązanych sznurkiem. Kiedy pragnie rozśmieszyć chłopców, siada na ławie i odciaga podeszwę.

— Moje buty chcą żreć!... — woła rozbawiony. — Patrzcie, jak pyski otwierają!...

Istotnie odsuwane podeszwy czynią wrażenie klapiących pysków wilczych. Z ich czarnej głębi wysterkują czarne palce.

— Czemu sobie nóg nie umyjesz? — krzywi się wytworny, blady Gołyszny i odsuwa się z niechęcią.

— Głupiś!... — woła Foltyn. — Do takich butów nie warto myć nóg!

— Czemu? — pytają dziewczyny.

— No, wsadź tu dłoń do środka, a potem wyciągnij i obejrzyj!... Zobaczysz. Jakbyś ją z komina wyjęła!

Foltyn więc marzy o butach. Wymalował je teraz na choince, wysokie, z cholewami, a do obcasów domalował wielkie złote ostrogi.

— Takich butów ani cesarz nie ma!... — chwali się, pokazując sąsiadom swój rysunek.

— A ty będziesz miał? — pytają koledzy.

— Będę!... Bo powiedział pan kierownik... Już się teraz od trzech dni uczę historii, a wczoraj napisałem wszystkie zadania!... „Stary“ mnie zbił paskiem, że palę naftę, ale ja potem poszedłem do chlewa ku krowom, zapaliłem latarnię, a w latarni była świeca, i tam napisałem zadanie. Tylko trochę mi się zalało, bo Strokula mi się patrzyła, co to robię, i chciała powąchać zeszyt, a miała pysk uśliniony, i ślina jej kapła z pyska na moje zadanie i już był żyd w zeszyt, taki jak byk.

I rozbiegła się po szkole niezwykła nowina o krowie Strokuli, jak pomagała Foltynowi pisać zadanie, a pośliniła mu je niechcący. Jako głupia krowa. Dzieci opowiadają tamtą historię po wszystkich klasach, a Foltyn chodzi dumny w swoich powiązanych buciorach. Jedyne złośliwy Banot, przewzany Banotitusem, chciał się popisać nie-mądrym dowcipem i zawołał podczas przerwy;

— Wiecie, chłopcy, czemu krowa wachała jego zadanie?

— Czemu? Czemu?

— Bo myślała, że to są kapuściane liście!..

Dowcip „nie chylił“. Opinia klasy osądziła na poczekaniu, że to głupi dowcip, że gdyby tak Banot miał pisać zadanie w chlewie przy krowach, to by się zbeczał, a nic by nie napisał. I gdyby on miał takie dziurawe buty, powiązane sznurkami, jakie posiada Foltyn, to by wiedział, jak to jest drugiemu. Medka zaś walnęła piórnikami po dłowie kudłatego Banota, a kiedy Banot chciał jej zwrócić z nawiązką, rozpoczęła się sroga batalia. W rezultacie Banot beczal w ławie przez całą lekcję polskiego, a Schantzer, mały żyd o gołębim sercu, niebieskich oczach i niepospolitej odwadze, kiedy przyjdzie bronić słabszych, trzymał pachnącą chusteczkę na rozbitej wardze. Dziedzic zaś napisał na kartce: — Brawo Schantzer!... Tyś jest pożądny żyt!... — i posłał ją pod ławkę Schantzerowi.

Potem jeszcze pan nauczyciel miał tu coś do powiedzenia.

— Proszę!... — mądrował teraz Macura, co będzie pastorem. — Ja to pięknie rozsądzę!... Bo ja już mam praktykę!...

— Tak jest!... Macura ma praktykę! — przyświadczyły dziewczyny, gdyż Macura stale rozsądza spory w klasie i feruje wyroki. Wyroki bywają sprawiedliwe. Pan nauczyciel zgodził się, a Macura zaczął, wytarłszy najpierw nos z hałasem do chusteczki.

— Proszę, to było tak... — zaczął i długo tłumaczył cały przebieg zajścia. A kiedy wszystko opowiedział, taki wyrok wydał:

— Banot jest głupi, bo się naśmiewał z Foltyna. A Foltyn jest sierota i wszystko. A Schantzer jest dobrym chłopcem i stanął w obronie Foltyna. I dał w pysk Banotowi. A Banot mu wrócił. Ale winę ponosi Banot, bo pierwszy zaczął. A Schantzer tylko bronił słabszego. On jest... on jest...

— ...dzentelmenem!... — podrzucił Urbach.

— Tak, on jest dzentelmenem!... Więc niech teraz Banot przeprosi Foltyna za te kapuściane liście, a potem Schantzera, że mu rozbił wargę, a Schantzer zaś przeprosi Banota i szlus!...

I tak się stało. Od wyroku Macury nie było

bowiem apelacji. Banot przeprosił Foltyna i Schantzera, a Schantzer przeprosił zaś Banota i już była zgoda w klasie. A ponieważ Banot miał na czole dużego, siniego guza i wciąż chlipał i pociągał żałośnie nosem, Schantzerowe serce nie wytrzymało.

— Nie becz jak stara krowa! — pocieszył go dobrotliwie. — Jutro ci przyniosę trzydzieści metrów szpagatu dla twojego latawca.

— Przyniesiesz?

— Jak Bóg nade mną!... — przysiągł się Schantzer.

— No, to już nie beczę!... Ale to ci mówię, aż przyniesiesz!... Bobyś widział!

— Przyniosę!... A już nie becz!... A tego guza namydlij sobie, a potem nożem, tak na płask przejeżdż, to ci zniknie!... No już!...

Banot zgodził się. Schantzer więc napluł Banotowi na guza, pomydlił, a potem kilka razy przejechał scyzorykiem na płask i już było wszystko dobrze, chociaż guz nie zniknął.

Najbardziej cieszy się na Gwiazdkę mały Smugała. Chudy, blady, jakby stale zziębnięty, o cienkim, długim, zaczerwienionym nosie. Siedzi w ławie wystraszony i patrzy na świat jakby ogromnie zdziwiony, jakby go pierwszy raz widział. Stale zapomina książkę i kajet i stale zapomina także przynosić zadania. Uczeń mniej niż przeciętny. Zawsze podczas przerwy pędzi do domu po zapomnianą książkę czy zeszyt i wraca do klasy zziąjany i znowu ogromnie wystraszony.

— Czemu nie popatrzysz w domu na podział lekcji? — pyta nieszczęśliwy już pan nauczyciel.

Smugała wstaje, połyka ślinę tak mocno, że mu aż grdyka skacze, i wytrzeszczony patrzy w pana nauczyciela.

— Proszę!... — zabiera wtedy głos jego kolega Schantzer. — To jest dobry chłopiec. Tylko on mieszka w domu sierocym, a tam nie ma on takiej opieki, jak ja na przykład.

Raz podszedł do stołu, nachylił się do pana nauczyciela i szepnął:

— Proszę mu nic nie mówić, że nie ma zadania. Bo on umrze!...

— Dlaczego ma umierać?... — dziwi się pan nauczyciel.

— Bo on ma suchoty... On umrze!... — szepnął znowu, a jego błękitne oczy stały się jakieś ciepłe, ogromne, dziewczęce.

Urbach widział tę scenę. Nazajutrz nie było w szkole Schantzera.

— Proszę!... — zaczął znowu nie proszony, kiedy pan nauczyciel notował Schantzerową nieobecność w katalogu.

— Cóż znowu?

— Proszę!... Schantzer kiedyś zbankrutuje!...

— Dlaczego?

— Bo to jest też żydek, jak i ja, a on ma takie miękkie serce!... A jeżeli chce być kupcem, to nie może mieć miękkiego serca, bo zbankrutuje w ciągu miesiąca!...

— Proszę!... — odezwała się teraz Galejanka.

— Ja mu coś powiem!...

— Powiedz! — zgodził się pan nauczyciel.

— Hy, głupi!... A chce być rabinem!...

A czy ty nie masz miękkiego serca?

— Ni!... — wrzeszczy zaperzony Urbach.

— Hy, a nie dałeś przeszłego roku naszemu ujcowi kalesonów i krawatki? Co? A też to było na gwiazdkę.

— Tak!... Tak!... — przypomniała sobie cała klasa. — Urbach ofiarował ujcowi kalesony i krawatkę na Gwiazdkę!... A więc też ma miękkie serce!...

Pokonany Urbach poprawił spodnie na brzuchu, mrugnął kilka razy i usiadł na ławie, milcząc już przez całą lekcję. Medka Urbischówna mówiła, że teraz martwi się, iż za miesiąc zbankrutuje. Macura zaś, co będzie pastorem, dodał sentencjonalnie, że lepiej zbankrutować, aniżeli mieć twarde, kamienne serce. Coś tam jeszcze chciał powiedzieć o uchu igielnym, ale mu to się pomieszało z wielbłądem i wszyscy zaczęli się śmiać. Powiedział bowiem, że igła przejdzie przez ucho wielbłądzie, lecz reszty już nie skończył, bo powstał ogromny wrzask.

— A co byś chciał na Gwiazdkę? — zapytał pan kierownik Smugałę.

Smugała popatrzył zdziwiony na pana kierownika, a potem szepnął:

— Proszę!... Ciepłą koszulę!...

— ...bo marznie w takiej cienkiej koszuli!... — poparł go Schantzer. — A sweter też by mu się przydał!... — jęły już wołać dziewczyny.

— A szal na kark!... A buty!... A ubranie!... — wołali już wszyscy.

— ...i chusteczka do nosa!... — dorzucił w końcu wytworny Gołyszny.

Przyszła nareszcie Gwiazdka. Nikt z dzieci nie mógł się doczekać, skoro skończy się tamto opowiadanie na scenie o Jezusku i skoro skończy się tamto młócenie deklamacji przed choinką. Żeby to już był koniec wszystkiemu, bo struclę pachną, że aż ślinka idzie, a na stołach piętrzą się paczuski z orzechami, jabłkami i piernikami, a na drugim stole jeszcze większa kupa butów, ubrań, bielizny i swetrów. Pod oknem zaś pali się choinka tysiącami świec, a papierowe aniołki fruwały na najwyższej gałęzce i trzymają w dłoniach wstęgę z napisem: — „Gloria in excelsis Deo!...” A te pierniki, i łańcuchy kolorowe, i cukierki w złotych papierkach, i orzechy,

i wszystko!... Aż w brzuchu burczy na ich widok!...

Nareszcie się skończyło. I przemowa, i deklamacje, i kolędy.

Foltyn pieścił śliczne buty z cholewami, wachał je i podsuwał każdemu pod nos, żeby również trochę powąchał. Bo buty strasznie ładnie pachną skórą i migdałami.

Smugała z czerwonym nosem uginał się znowu pod brzemieniem ubrania, swetra, bucików, szala i chusteczki. Pociągał nosem i lypał wystraszonymi oczami.

Urbach zaś podszedł do ujca, stojącego na uboczu, i wtykając mu do kieszeni butelkę rumu i paczkę herbaty, szeptał:

— Weźcie se, ujcu, a nie mówcie nikomu, boby mówili, że zbankrutuję!... Że jako żyd mam miękkie serce... Weźcie se!...

KONIEC.



A. MORDAWSKA
III B 448

Spyrecka

[Godka ludowa]

Był stary, niewielgi, kuńduś zgarbiony, jako wej od starości to bywo. Przezywali go Spyrecką.

Sed se z jennego podjarmarcka do karcmy, coby sie uwidzieć z przyjocielami, moze i conieco wypić, a i przetrącić by sie tyz zdało, no bo tak przecie zawdy bywo. Nopirwy popijatyka, a potem przekąska.

Wesed se do środka karcmy, spożroł, fajke z gęby wyjon, splunon i przywitól zebranyk. Ale same gęby nie swoje — z innyk jakisik stron. Siod se w kąciku, przy stole, kozoł se półkwaterek, nałozyl świeżą fajcyne i popijoł, a cmokoł.

W izbie ruch bël jaz okropa. Kupcy, nie kupcy? Hanglorze, cy jakie inkse ludkowie popijajom, pośpiéwujom, przytupkujom — a wesolo, wesolo! Hej, mocny Boze! Jakzeby? Młode to.

Wyskocyl z tamte kompanije jeden harnaś ku staremu i napiel sie ś nim. A staremu jaz poweselało w dusy. Oj! Bo mu ta nie zawdy wesolo bywo. Hej! Nie wesolo! Dziecisków w chałupie jaz gęsto, a bięda — jaz piscy! To sie i w karmie choć roz uciesy! A parobcy przyśpiéwu-

J. SAJDAKÓWNA

[Goliardowe pieśni]

Gasnę mrocznym, cichym zmierzchem
W jesień wklętą siną mgłą.
Rozwleczone gdzieś po łąkach
Nici baśni cicho drżą...

Goliardowe dziwne granie —
Jesień: cichy przyśpiew mgły.
W srebrnej dali miast neony...
Nie spełnione — dziwne sny...

Rybałtowej gęśli granie,
Średniowieczny — dziwny mit,
Rdzą pokryte stare śnienia
I miłości starej zwid.

Rdzą pokryte mroki cichną
Opowieścią z dawnych dni,...
Balladowy — rzewny smutek
I tęsknica, wklęta w lzy...

jom, a przyśpiéwujom coroz to nowe śpiéwki.
Naroz Spyrecka ucha nadstawiól... Co to oni śpiéwajom?... Co to takie?

Na Liskowie przy dworze
Som pieniązki w jaworze
Jawor gruby i stary
Mo złomane kunary...

— Hej, kompanijo! Stulić pysk! — ozwoł sie nowyzsy spośród nik.

Spyrecka ozwar usy i gębe; zaroz sie zmiarkowol, co to musiało być kuńduś i prowdy, bo on by ta na darmo, ten starsy, pyska tulić nie kazowol. Hej! A kiejby tak... Stary miol rozum nie od parady. Śpiéwka wpadła mu w usy i w serce gęboko. Bo to moze i jakie zbójniki. Ftoz ik ta wie?

Juz sie miol zabięrać ku chałupie, a tu noroz we drzwiak stanęły ziandary! W izbie jakby zawrzało i zakotłowało sie. Chłopczy ku oknom — ziandary we drzwiak — ziandary! Kora Bosko, co ik najechało! Przepadło! Kajdonki i łańcuski zażwięcały, jaze mrowie starego przesło! Za pore pociyrzy juz cisa. Juz ik nawet nie widno.

Naciągnął stary copke na głowe, fajcyne zakurzył i rusyl, ale nie ku chałupinie. Mo cas! Poseł ku Liskowu. Jakoz — przecie on ta wie, ka pon ze dwora mo jawory. Te piekne drzewa! Ha! Jaz oko kce ucięc ze łba, kiej požry na te

CO CZYTAĆ?

Kornel Makuszyński

„SZATAN Z SIÓDMEJ KLASY“

Nakładem Gebethnera i Wolfa. Warszawa — 1937 — [wyd III].

Wiele pięknych książek dla młodzieży napisał Makuszyński. Książka, o której piszę, jest jedną z najpiękniejszych i najlepszych, łączy bowiem w sobie wszystkie zalety i cechy charakterystyczne talentu Makuszyńskiego; świetny styl, interesująca i nader oryginalnie pomyślana akcja, no i humor — wspaniały, tryskający iskrami dowcipu i prawdziwej, nie „robionej” radości życia, przez którą przebija szczerą miłość i złote serce humorysty miłującego młodzież i znającego ją dobrze.

„Szatan z VII kl.” — oprócz wyżej wymienionych cech odznacza się akcją wybitnie i oryginalnie przeprowadzoną. Można rzec, że sceny niektóre, a nawet większość ich — mają dużo posmaku sensacji, pomijając już to, że nie brak im napięcia prawdziwie dramatycznego.

Treść książki stanowią przygody młodego chłopca, ucznia VII kl. gimn., młodzieńca o niezwyklej inteligencji i zdolnościach do rozwiązywania rozmaitych spraw „ponurych i ciemnych”. Dzięki tej przemyślności zgo-

ła szatańskiej udaje się Adasiowi [takie bowiem imię nosi bohater], wyświecić ponurą tajemnicę nękającą pewien poczciwy dom.

Postać bohatera jest niezwykle sympatyczna; akcja, jak powiedziałam, żywa i interesująca, dlatego też książka ta ze wszech miar godna jest czytania — i na pewno trafi do przekonania młodym, [a może i nie tylko młodym] czytelnikom.

J. SAJDAKÓWNA.

Zygmunt Nowakowski
„PANI — SŁUŻBA“

„Pani — służba” Nowakowskiego, jedna z ostatnich książek jakie się pojawiły na księgarskich półkach, to obraz służby, bohaterskiej, twardej i niebezpiecznej służby policjanta.

Jego towarzyszem jest pies Baca, u którego wierność i przywiązanie do pana łączy się z psią inteligencją, przebiegłością, zręcznością i siłą. W pościgu za zbrodniarzem i podpalaczem Dmytrem, przeżywają pan i jego pies cały szereg niezwykłych, romantycznych przygód.

Przykuwająca akcja tej powieści rozgrywa się na terenie pełnego czaru Polësia, którego lasy, łąki i moczary, malownicze w promieniach słońca, stają się gro-

ślicności. Spyrecka tego lasa dawno panu zażdrości!

Włoz w potok, ka woda po kamyckak sie tocy — przeloz na drugom strone i patrzy. Idzie pomalućku po lesie i poziéro, a poziéro. Loskom sie podpiéro, to zaś popukuje po jaworak, ale nie! Nie takie, jak tamci śpiéwali. Majom calućkie kunory.

Jaz naroz! Spyrecka podskocyl, jakby mu roków odjęło i dopod jawora. To ci bël jawór! Gruby, wielgachny i miol połomane kunory. Takuški jak w těj śpiéwce. Grzmotnon palicom z cale siéły po pniu... Pusty! Dudławy! O Jezusicku! Cy to prowda?

Juz sie miało słonecko chować za góry, kiej Spyrecka kłaniał sie panu, coby mu przedoł wielgiego jawora, bo mu trza na miodne becki. Pon sie zgodziél, Spyrecke przecie znoł, kozoł zapłacić i po jawora prijjechać.

Na drugi dzień, lem świt, Spyrecka jedzie z paróbkami do lasa podrzynać jawora.

Poderzneli wneciutki, ale kiej sie miol juz jawor przewracać, odścigoł paróbków do chałupy po zaprzęg, a som pockoł, jaz drzewo włosnym ciężarem przewożyło w jednym strone, i z okropnym hukiem przewaliło sie po innyk jaworak na ziemie.

Przyskocyl wtej Spyrecka z bijącym ser-



...Przyskocyl z bijącym sercem...

żne, ponure i tajemnicze z nadejściem mroku.

Całość napisana porywającym stylem z humorem właściwym autorowi, daje gwarancję naprawdę mile spędzonego czasu.

Gustaw Morcinek
„MASZEROWAĆ...!”

W powieści tej kreśli Morcinek sytuację, w jakiej znajdowali się Polacy na czeskim Zaolziu do chwili, w której ziemia ta została do Polski przyłączona.

Główną jej postacią jest Karol Bohaz, który nie wie, że jest Polakiem, a na zapytanie nauczyciela czeskiej szkoły, jakiej jest narodowości, odpowiada hardo: „ja sem Czech”.

Różne uczucia miotają duszą Karola Bohaca, a właściwie Karola Bogacza, przy zetknięciu się z grupą polskich górników, których marzeniem jest, by mogli do czekać się chwili powrotu Zaolzia do Polski.

W życiu Karola następuje przełom. Jest Polakiem. Jednak głód, nędza i niedola zmuszają go do oświadczenia, że jest Czechem, gdyż w przeciwnym razie pracy by nie otrzymał.

Skoro jednak na wieść o rozruchach Niemców Sudeckich rozpoczynają działać i powstańcy polscy, a zwłaszcza harcerze pod wodzą Witolda Regera, wstępuje w ich szeregi, by niedługo potem oglądać ze

cem do drzewa i użroł, co je wypróchniało. Sięgnął kijem do środka... cosik brzękło. Pociągnął — skrzinecka niewielgo, ale ciężkawa. Zagarnął pod gurmance i co sił w nogak umykoł ku potoczkowi.

Pod wystającym korzeniem starej sośni ukrył skrzinecke. Som wrócił wartko do jawora i pockoł na parobków. Kozoł im go poprzerzinać i pozwozić ku chałupie. Som sie zabroł zaroz — ukradkiem w potok pod sosnom i chyłkiem omiłoł ludzi, coby go nie zacypiali. Spocony, zziąjany wpod do zimne izdebki i ukrył swój skarb w sąsieku. Babie ani słówka nie pedzioł, bo sie boł. Wiadomo! Baba mo długi ozór. A tu nifto nie śmie wiedzieć.

Tak wej sie stało, co wyścigoł babe z dziećmi do kościoła w niedziele, a som se rachowoł, co mu nifto przeszkodzoł nie bedzie, to zażry do skrzynecki. Ostała ino stara dziewczka służąca, ale glucho i niemrawo, to sie ta jej nie bars boł.

Ręcyska mu sie trzęsły, kiej dźwignął skrzinecke... Serce mu bięło z niecierpliwości i z niepewności; co hań użry! Co? Jezusicku noslody! Ino mnie poratuj niegodnego grzyśnika!!!

Ślipie mu stanęły słupem! Co złoto, to złoto, niewiele ta tego bęło, ale papiéry! Nowiuśkie, te różniejse. Pożry lepiěj, a tu same tysiacki. Ino zwilgły końduś od ziemie.

Wzruszeniem wojska polskie, maszerujące na Zaolzie.

Przepiękne są sceny śmierci starego górnika Sobola, śmierci Witolda Regera ginącego na posterunku i moment powitania polskich wojsk, moment pojednania i zbratania.

Książkę tę, ilustrowaną licznymi zdjęciami, powinien przeczytać każdy z nas.

Jalu Kurek
„ZAMUROWANA RZEKA“

„Zamurowana rzeka” — to obraz gigantycznej budowy zapory wodnej w Porąbce, to obraz pracy, wysiłku i solidarności polskiego robotnika, inżyniera-konstruktor. „Praca zaczęła stawać się powszednim chlebem dla Walentego Mizi. Codziennie, kiedy wychodził z baraku, ogarniał wzrokiem potężną budowę zapory. Wznosiła się bardzo wolno, krzepniała murem, łączyła oba przyczółki. Wstawały kwadratowe bloki układane w schody, beton lał się przez cały dzień, kolejka napowietrzna zwoziła nieustannie wagoniki płynnej masy z betoniarki”.

Książka ta, ilustrowana licznymi zdjęciami z budowy zapory, jest cenną pamiątką wysiłku rąk polskich pracowników, wysiłku, który dla niejednego skończył się tragicznie.

Runął stary na kolana. Jezusicku, dziękuje Ci! Za moje dzieci biędne! Così im teraz przecie zabeśpiecem! A słuzy mu z ocysk kapią kieby groch.

Wstoł z podłogi i trzęsącymi rękami rozkładał po izbie, po ławak, po sąsieku, coby sie przesusyły te skarby.

A tu naroz drzwi skrzypnęły, wlało dziećęcisko z warząchwią po mąke — patrzy i ślipie ozwiera.

— Co tu kces? — krzyknał stary i skocyl ku dziećwęciciu, wypychając ją za drzwi.

Przepadło, widziała, ale... nie powiedziała, bo nie umiała, ino pokozala, co bęło narozkładane w izdebce.

No i potem, moiściewy, przysły dobre casy. Synkowie podorastali, a co ftory z wojska powrócieli, a ku zeniacce sie zabięroł, to mu tatuś gospodarke kupowali. Były jesce wtej dwory, choć ta niewielgie, ale były, to je ta Spyrecka posprzątoł. Jednemu 60 morgów, drugiemu 60, trzeci dostał 80, inksy 40, bo synków kieloro bęło.

Jak roz przisęł na licytacyjom, pytała sie go babina: cy mu dać zimioków, cy zyta na jolmuzne, a ten pedzioł, co idzie dwór targować.

Baba sie wyśmioła z ladacego dziada, a tymcasem stało sie inacy.

„W poniedziałek koło południa krzyk straszny rozległ się nad budową. Walek podniósł oczy od młota i zobaczył dwóch ludzi lecących z rusztowania na gruz koryta, trzeci człowiek kołysał się w powietrzu, uczepony na linie, wrzeszcząc nieludzko”.

Przeczytanie tej książki, dodaje ochoty do pracy, napawa poczuciem siły i potęgi naszego państwa.

„Najpiękniejszy człowiek mego pokolenia”

„Wieczorami i nocami przemykają pod murami kamienic pokątnych, podmiejskich ulic ci wszyscy, co nie mają dachu nad głową, nie mają gdzie się podziąć, nie mają gdzie odpocząć, mkną więc w jedną stronę, ku jednej ulicy, ku Dzikiej, gdzie jest t. zw. Cyrk, przytułek nocny, przystań, ich ultimum refugium”.

„I tam wszędzie śpią w mroźne noce, na pryczach, na harach, niekiedy na podłodze, niekiedy w poprzek położeni, setki, tysiące, mrowie bezdomnych, bezrobotnych, beznadziejnych, ściek ludzki z wielkich miast. Gdyby tych ogrzewalni nie było, zmarzliby żywcem w rynsztokach, ale przedtem by mordowali, gdzie się co da, choćby i wzajemne siebie”.

Jak powstały te przytułki? Kto je założył? Kim był Brat Albert?

Na to odpowiedź daje biografia Adolfa Nowaczynskiego p. t. „Najpiękniejszy człowiek mego pokolenia”.

TADEUSZ LANGER.

TADEUSZ LANGER

Ilustr.: J. Bogusz, g. 368

Takie sobie obrazki

[czyli spostrzeżenia na wesoło]

Opuszczamy lekcje

Ileż to razy nie przygotowawszy lekcji kładziemy się spać z mocnym postanowieniem, że rano wstaniemy wcześniej i lekcje odrobimy.

Z poważną miną nastawiamy budzik na godzinę piątą, — rodziców, czyniących nam wyrzuty, że naukę spychamy na ostatnią chwilę, zape-

Skoro przyszedł Spyrecka do dwora, stanon se cichuńko w kąciku, i słuchał kielo ta dajom pany za ten dwór. Trza bėło zarusieńki dwa ty-siącki zapłacić. Ale ziemia piekno bėła i Spyrecka rzeknął, co on zapłaci. Obeźreli sie panowie, kto to taki bogaty, co zaroz telo daje i wyśmioli sie śniego.

Ale ten spytoł sie ino, cy naprowde ten, co to zaroz zapłaci, bedzie mioł dwór, a kie j panowie pedzieli, ze tak, to i wyjon piėniądze z zanadru, i zapłacił, co fcieli.

Kiej to oni obocyli, tak cap. Nie puszcą na-

wniamy, że rano „to i człowiek rzeński, i umysł świeższy, hałasu nie ma”, że w ogóle pora ta najlepiej nam do nauki odpowiada.

Z tym przekonaniem zasypiamy.

Drrrrrrrrrr — drrrrrrrrrr!!!

Budzimy się momentalnie. „Ubezpieczliwiamy” budzik, opatrzoney w tym samym napisem „Jazz” i zamiast wstać. ~~A zaczynamy rozmyślać.~~

Przede wszystkim jesteśmy na siebie, że nie uczyliśmy się poprzedniego dnia.

Jest bowiem jeszcze ciemno, zimno, a nam się tak jeszcze chce spać!

Głos rozsądku mówi wprawdzie, że trzeba wstać, przemóc się, zabrać do pracy — niestety — najczęściej głosu tego nie słuchamy, ale machnąwszy na wszystko ręką, z modnym zwrotem na ustach „mało ważne” zasypiamy na nowo.

Skutki: nieobecność w klasie — nie usprawiedliwiona.

Osoba tercjana i wielka polityka

Nie wiem, czy wszyscy zdają sobie sprawę z tego, jak ważną osobą w każdej szkole jest tercjan.

Nie ukazała się dotąd jeszcze książka, w której by autor opisując swe „szczenięce” lata, nie wspomniał z rozrzewnieniem o starym, poczciwym tercjanie, o poważnej minie z pękiem kluczy i potężnym dzwonkiem w ręku oraz z szumiastymi wąsami [nie w ręku, lecz tam, gdzie wąsy mają swe przeznaczone miejsce].

Chociaż jeden z naszych tercjanów [nazwijmy go panem „Futro”] nie tylko, że nie ma wąsów [czasem tylko bywa nie ogolony], nie tylko, że nie nosi z sobą dzwonka, gdyż postęp techniki wprowadził dzwonki elektryczne, ale że jest poza tym młody i wesół, cieszy się wielką sympatią z naszej strony, lubimy go wszyscy.

Nawiasem mówiąc raz tylko dotąd mieliśmy do niego uzasadnione pretensje, gdyż zadzwonił na koniec godziny „aż” o 5 minut za późno.

Te 5 minut kosztowało nas o paru kolegów

skiego Spyrecki do chałupy i pedają, ze on pi-niądze komusi skrod. Tak przyznał sie dopiėro, ze naloz je w tym jaworze, co kupił go od pana. Pon bėł tyz wte i poświadcėł, co chłopek prowde pedo i puścili go wolno.

Dwór ten i pole zapisoł nomłodsemu synowi. Tak zabezpiecył synom zywoť i bylbj już mioł spokój, kieby mu baba [miała 90 loť] ciėgiem nie susyła głowy, zeby sobie jesce co dokupiėł. On zaś nie fciol na staroś zyć w bogactwie, co mu tak letko przysło.

K O N I E C.

więcej, którzy „zryli” (choć wcale nie są ogrodnikami).



Z panem tercjanem lubimy prowadzić „dysputy polityczne”. Na jednej z ostatnich dowiedzieliśmy się, że na posła X nie ma co głosować, gdyż raz tylko w swym życiu zabrał on głos w sejmie i poprosił o zamknięcie okna.

Tu przypomina mi się jeden z monologów Wiecha, gdy pan Gołaba zeznawał w sądzie w charakterze świadka.

Przystąpiwszy do zeznań poprosił, by rozprawa mogła się odbyć przy drzwiach zamkniętych. Sąd zgodził się i zarządził opróżnienie sali przez publikę. Tymczasem pan Gołaba nie zeznał nic takiego, czego zebrana publiczność nie mogłaby wysłuchać, dlatego też sędzia spytał pana Gołabę czemu domagał się prowadzenia rozprawy przy zamkniętych drzwiach? Ten mu na to odpowiedział czystym dialektem „warszawskim”, „że przeciąg był, a on jak w „cugu” przemawia, to chrypkę dostaje i migdały mu się powiększają”.

My a wybory

Skoro już wspomniałem o wyborach, trzeba stwierdzić, że albo młodzież dzisiejsza ma od swych dawnych poprzedników mniej do nauki, albo że więcej i pilniej się uczy.

Podczas bowiem gdy dawniej połowa 8 klasy szła pod opieką profesora do głosowania, dziś żaden z nas nie miał jeszcze (ze względu na swą „małoletniość”) prawa do oddania głosu.



Fakt ten nie przeszkodził jednak pewnemu sprytnemu dowcipnisiowi, by przejechać się doróżką z rynku do szkoły przy ulicy Batorego, gdzie mieścił się lokal wyborczy, ...za darmo.

Filmowi krytycy

Dziś... dnia... wyświetla kino... film p. t. „Wrzos”... obiega klasy kurenda.

— Idziesz do kina? — padają zewsząd pytania.

— A, pójdę, pójdę, podobno taki film, że aż się płakać chce.

— Ty idziesz? E! Choryś czy poeta? „Wrzos” to podobno druga „Trędowata”.

— A ty?

— Pójdę, będę robił „grandę”, uśmieję się jak „kobity” będą płakać.

— Chodź ze mną, Zygmunt!

— Nie idę. Z zasady nie chodzę na filmy, które się źle kończą.

— Ano trudno. Ale ja idę.

Godzina 4. Gasną światła. Reklama „Aidy” wywołuje szmer uznania na sali. Uważają nas za palących, co za zaszczyt...

Wreszcie rozpoczyna się wyświetlanie „Wrzosa”. I tu rozróżnić już można dwa rodzaje widzów kinowych. Jedni w spokoju oglądają rzeczywiście jeden z najpiękniejszych filmów polskich, drudzy przeszkadzają, śmieją się, starają się dostrzec u bardziej uczuciowych ślady łez w oku. I tak oglądając na przykład scenę, w której Stępowski wzrusza swą grą, tuląc do siebie synową, uważając ją za ideał żony, stwierdzają głośno, że „w starym piecu diabeł pali”.

Film kończy się. Wszyscy wysypują się z gmachu kina. „Znawcy filmowi” dzielą się swymi spostrzeżeniami.

— Film do niczego — stwierdza jeden — Kazia dlatego umiera, że Rodziewiczówna nie miała innego rozwiązania sytuacji. Choć ja uśmierciłbym Cybulskiego (Staszka), a Andrzeja wraz z Kazią pozostawiłbym przy życiu, jako szczęśliwe małżeństwo.

— Ja w każdym razie odniosłem pewną korzyść z tego filmu — stwierdza drugi. — Dowiedziałem się jak wygląda kwiat... wrzosa.

Czy nie szkoda pieniędzy, panowie „krytycy”? Czy nie lepiej kupić sobie za nie ciastek, [sic!]? przyp. Red.] i innym nie przeszkadzać?

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KONKURS ROZRYWKOWY

„Dział rozrywek umysłowych” ogłasza konkurs. Za rozwiązania umieszczanych w „Zewie Gór” rozrywek umysłowych przydzielane będą punkty (przy każdej rozrywce umieszczona będzie ilość punktów za rozwiązanie). Konkurs trwać będzie do dnia 31 maja 1939.

W ostatnim numerze zostanie ogłoszona lista członków nagrodzonych.

Nagrody: I i II książki beletrystyczne.

Dział Rozrywek Umysłowych.

Z powodu braku miejsca rozwiązanie z Nrów 44—46 padamy w następnym numerze.

Figielki

[1 punkt]

Jaki w sądzie broni kat?
 Jaki kwiat wydaje mat?
 Jakie w miastach znacie wary?
 Jakie czas podają gary?
 Jakie domy mają miny?
 Jakie w morzach żyją kiny?
 Jakie leczą z chorób racje?
 A jakie „wkuwamy” nacje?
 Jaka w państwach rządzi tura?
 Jaka potysk daje tura?
 Jaki błaga o grosz brak?
 A jaki ma różki mak?
 Jaki ciepła nie da piec?
 I figielków już... koniec.

Bilety wizytowe

[Za każdy bitet 1 punkt]

Eka-Pers

Dr Kortey

Kasia Tonfoss

Kim są ci ludzie?

Humor

W stanie Michigan w Ameryce tablice ostrzegawcze dla automobilistów przy szosach opatrzone są w następujące, między innymi, napisy:

Czy masz bieżące konto u lekarza?

Daj gazu, ale wtedy tylko, jeśli zrobiłeś testament!

Cmentarz — odległość 100 m.

* * *

Jakżeż sprawuje się mój syn? — pyta zatro-skany ojciec gospodarza klasy na wywiadówce.
 — No — odpowiada profesor — jego zachowanie pozostawia wiele do życzenia.

Wczoraj nawet posunął się do tego, że zaczął naśladować jednego profesora i ryczał jak wół.

* * *

Czy to prawda, że ten słynny archeolog jest taki roztargniony?

Naturalnie! Możesz sobie wyobrazić jego roztargnienie, gdy na jednym przyjęciu po ko-

lacji wpisał do pamiętnika gospodyni, prosząc go o autograf, zażalenie na kiepską kolację, jaką otrzymał.

* * *

Dla zaawansowanych matematyków

Jedna z klas liceum mat.-fiz. otrzymała nową tablicę składającą się z dwóch ruchomych części.

Na jednym z wykładów geometrii analitycznej zwraca się profesor do jednego z pytanych uczniów: „A teraz, żeby uprościć i wyjaśnić rachunek, proszę wykonać przesunięcie [układu].

— Przesunięcie? W tej chwili, — odpowiada pytany i przesuwa tablicę.

Z teki sądowej

Ostatnio zdarzył się na terenie naszego gimnazjum I karygodny wypadek zabicia z premedytacją kota, niewiadomego pochodzenia, przez jednego z uczniów.

Ustaleniem przyczyn, jakie skłoniły zabójcę kota do tego wyżej wymienionego czynu, zajmie się niewątpliwie sąd koleżeński.

TADEUSZ LANGER.

Zezem

Szaleje grypa!!

Jak piszą w prasie,
 Wielka panika —
 Na całym świecie...
 grypa.

Chociaż to bardzo
 Nawet nieładnie
 Każdy z młodzieży
 Grypy tej... pragnie,
 bo...

Gdy epidemia
 Szerzy się w świecie,
 Zamknięte szkoły
 W każdym powiecie.

Z tego znów taki
 Morał wynika,
 Że będzie wolne
 Jak będzie...
 grypa.